Nr. 22. Lwów, 15. listopada 1901. Rok XXIV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Zabity słoń, była to stara samica z niewielkimi kłami. W cyckach, które, jak wiadomo, u słonia znajdują się pomiędzy przedniemi nogami, znaleźliśmy mleko. Z egzaminu strzałów okazało się, że dostała dwie kule hrabiego w same czoło: jedną — nieco powyżej linii oczu i ta przeszyła całą grubość czaszki, wychodząc tyłem głowy; drugą zaś — o jakie dwa cale niżej. Ta to kula, sprowadziła piorunującą śmierć zwierzęcia, utkwiwszy w mózgu.

Tutaj, mieliśmy szerokie pole do podziwiania ostrości strzału sztucerów Hollanda and Hollanda. Jeszcze niedawno Rowland Ward w dziele swem „Records of the Game", wydanem w 1900 r., wspomina, że do słonia afrykańskiego nie można strzelać z frontu, gdyż nie ma kuli, którąby przeszyła grubość kości czołowej. A tymczasem, w danym wypadku, niewielka kula cal. 450 przebiła całą długość czaszki, to jest masę kostną, metrowej blisko grubości.

Oglądając zabitego słonia, komunikowaliśmy sobie wzajemnie wrażenia, tylko co ubiegłych, wypadków. Okazało się, że słoni było trzy: zabita przez hrabiego samica, wielki samiec, który na nas szarżował i trzeci, jak się zdaje podrostek, który odrazu gdzieś w bok skręcił, gdyż go więcej nie widzieliśmy. Hrabia pierwszy swój strzał dał do samicy, która najbliżej nas stała, choć dotychczas żaden z nas nie mógłby powiedzieć na pewno, czy przodem, czy tyłem. Przypuszczać jednak można, że wszystkie trzy, stały głowami do siebie zwrócone, a w takim razie zabita sztuka stałaby do nas tyłem w chwili, gdyśmy słonie ujrzeli, i dopiero zwróciła się na nas, po pierwszym strzale.

Hrabia, uciekając, przewrócił się także, gdyż mu się nogi w trawie zaplątały, a broń, tylko co wystrzeloną, nabił, leżąc na ziemi, poczem zerwał się i strzelił jeszcze dwa razy, w chwili, gdy słoń miał minąć. W ogóle nie mogłem się wydziwić i dotychczas jestem pełen admiracyi dla niezwykłej odwagi i przytomności umysłu, jaką w tak strasznem niebezpieczeństwie wykazał hr. Potocki, zdążywszy nabić broń swoją 5 razy i dając ogółem 7 strzałów.

Niejednemu z czytelników słusznie mogłoby się nasunąć pytanie: dla czego ja do słoni ani razu nie strzeliłem? Wspomniałem poprzednio, dla jakich powodów wstrzymałem się od strzału w chwili, gdyśmy słonie spostrzegli. Gdy zaś ruszyły na nas, po pierwszym strzale, nie myślałem nawet o użyciu broni, gdyż nie przypuszczałem, aby można dać strzał pewny do szarżującego słonia, szczególniej, gdy się ma w ręku broń tak ciężką i trudną do manewrowania, jak paradoks cal. 10. Mózg słonia, widziany z przodu, ma zaledwie 6 cali średnicy, a pozycya jego na wielkiej powierzchni czoła jest nadzwyczaj trudną do oznaczenia, gdyż nie ma punktów orjentowania się, jak przy strzelaniu do boku, gdzie oko i ucho doskonale wskazują położenie tego ośrodka życia. Widzieliśmy też, że kula może przeszyć całą grubość czaszki, nie sprowadzając najmniejszych perturbacyj w organizmie słonia, skoro zwierz ten, z podobną kulą, nawet znaku najmniejszego nie dawał. Zresztą, naczytałem się i nasłuchałem opowiadań o szarżach słoni, prowadzonych z taką szybkością, że mimowoli większą wiarę dawałem mym nogom i zwinności ruchów, niż mej broni. Możnaby więc ucieczkę moją nazwać wyrozumowanem tchórzostwem. Pociesza mnie tylko, że wielu myśliwych, wypróbowanej odwagi, przed słoniami bez pamięci uciekało.

W całej tej aferze 24 lutego mogliśmy sobie powinszować szczęśliwego zakończenia. Przedewszystkiem, gdyby hrabia nie był powalił na miejscu samicy, mielibyśmy na karku nie jednego, a dwa szarżujące słonie, a wtedy nie jeden, to drugi z nich, mógłby wpaść na którego z nas. Ta okoliczność, żeśmy się obaj kolejno wywrócili, gdy słoń był najbliżej każdego z nas, uratowała nam też niewątpliwie życie bo tym sposobem skryliśmy się przed krótkim wzrokiem, rozjuszonego zwierza.

To, jedyne podczas naszej wyprawy, spotkanie ze słoniami, pozwoliło mi sprawdzić słuszność twierdzenia, że jest to najgroźniejszy nieprzyjaciel, jakiego myśliwy może spotkać. Przed rozjuszonym bawołem można się jeszcze schować, choćby w ostatniej chwili, za drzewo lub na drzewo. Jakkolwiek szarża lwa jest straszną, to jednak, zimno i celnie strzelający myśliwy, łatwo może powalić nieprzyjaciela w ostatniej chwili. A nadto wieluż to ludzi było pod lwem i mimo to, uszło śmierci z mniejszemi lub większemi li tylko okaleczeniami, że przytoczę sławnego Livingstona i hr. Esterhazego. Przed szarżującym nosorożcem jest równie łatwo ustąpić się, według słów ks. Henryka Lichtensteina, jak przed elektrycznym tramwajem. Tymczasem ze słoniem sprawa jest stokroć trudniejsza. Zwierz ten, przy swej niemal ludzkiej inteligencyi, zdaje sobie doskonale sprawę z tego, co robi. Jeżeli więc trafimy na mizantropa, możemy być pewni, że za pierwszym danym sygnałem, zdradzającym naszą obecność, mieć go na karku będziemy. A słoń załatwia się ze swym nieprzyjacielem sumarycznie: chwyci trąbą, uniesie do góry, rżnie o ziemię i nieszczęsny myśliwy już ma wszystkie kości pogruchotane. Dla pewności zaś, straszny ten zwierz bierze swego nieprzyjaciela pod nogi i depce go niemiłosiernie.

O ile mogłem zrozumieć, w polowaniu na słonie, należy zachować następującą taktykę. Podejść do sztuki lub do stada jaknajbliżej, co przy dobrym wietrze i przy słabo rozwiniętym wzroku i słuchu tego zwierzęcia, nie jest bynajmniej bardzo trudno i strzelać z boku, nieco powyżej linii, łączącej oko z otworem ucha. W razie zaś, gdyby zbytnia odległość, nie pozwalała na strzał pewny w głowę, mierzyć na komorę, starając się przeszyć serce. Jeśli strzał nasz nie powali sztuki na miejscu, lub gdyby w stadzie znalazł się niestrzelany mizantrop, któryby zapragnął rozprawić się z nami, uciekać, co nogi starczą, lecz nie wprost od zwierząt, a w bok, licząc się zawsze z kierunkiem wiatru, aby odjąć groźnemu nieprzyjacielowi możność śledzenia nas węchem.

Wróćmy jednak do mojego opowiadania. Gdyśmy byli zajęci oglądaniem słonia, nadjechali konno wszyscy derwisze i wyprawili hałaśliwą owacyę hrabiemu, potrząsając wojowniczo swemi lancami, poczem udali się na tropy ranionego słonia, obiecując, że muszą go dojść prędzej, czy później. Myśmy tymczasem oczekiwali nadejścia wielbłąda, gdyż nam pragnienie straszliwie dokuczało. Po kilkakrotnem sfotografowaniu zabitej sztuki i pozostawiwszy na noc do jej pilnowania Ibrahima i Hasaballę, około w pół do czwartej ruszyliśmy z powrotem do obozu, od którego, jak liczyliśmy, dzieliła nas przynajmniej 30-wiorstowa przestrzeń.

Już o zachodzie słońca spotkaliśmy stado arielów, największe, jakie w czasie całej wyprawy widzieliśmy, gdyż mogło liczyć 200 do 250 sztuk. Zsiadłem z konia i zacząłem je podchodzić, lecz ostrożne zwierzęta zwolna oddalały się, utrzymując stale odległość jakich 200 kroków między nami. Strzeliłem na ten dystans kilka razy, lecz bez skutku. Wreszcie, po jednym z takich strzałów stado rozbiło się na dwie partye. Korzystając z powalonego przez słonie drzewa, począłem ostrożnie podchodzić jedną z nich i udało mi się zbliżyć do zwierząt na dystans 150 kroków. Strzeliłem w kupę i z radością spostrzegłem, że dwie sztuki padły od tej jednej kuli, a gdy reszta w popłochu zaczęła uciekać, zmieniłem szybko nabój w magazynie i powaliłem jeszcze jedną, dużą samicę. Tymczasem usłyszałem poza sobą strzały. To hrabia i Stefan kanonowali do drugiej części stada. Okazało się, że i hrabia zabił jednego z uciekających arieli.

Nie chcąc tracić czasu przy patroszeniu i troczeniu na wielbłądzie czterech antylop, zostawiliśmy na miejscu mojego Mohameda, Ahmeda i wielbłądnika, a my dwaj, wziąwszy ze sobą Stefana, Abdallę i Fadila, ruszyliśmy ku obozowi, gdyż zmierzch już począł zapadać. Poprowadził nas Abdallah.

Wkrótce noc zapadła nad dżunglą i tylko wąski księżyc rzucał nieco światła. Pozsiadaliśmy z koni, gdyż wśród ciemności kolczaste gałęzie drapały nam twarz i ręce. Szliśmy tak w milczeniu, znużeni całodziennym marszem, wyglądając, rychło ujrzymy disseńską łąkę. Cały zapas herbaty w manierkach wyczerpał się i pragnienie poczęło mi silnie dokuczać. Było już po 7-mej,

gdyśmy się spostrzegli, że przewodnik nasz, Abdallah, zaczyna coś bałamucić. Okazało się, że wśród nocy zgubił drogę. Śliczna perspektywa! Nocować w dżungli z pustymi żołądkami, z ustami, spieczonemi od pragnienia! I zaczęło się błądzenie wśród kolczastego gąszczu, ze słabą nadzieją wybrnięcia przed świtem z tego labiryntu drzew, krzaków i palm. Te właśnie palmy robiły nam nadzieję, że znajdujemy się gdzieś niedaleko od rzeki, lecz Abdallah tak się zbłąkał, że nieraz zawracał nas po własnych tropach. Na szczęście, Dissa była już niezbyt daleko, cośmy mogli sprawdzić, usłyszawszy bardzo jeszcze odległe szczekanie psów i ryk bydła. Te głosy wskazały nam właściwy kierunek. Wreszcie po dwugodzinnem błądzeniu, wydostaliśmy się na disseńską łąkę, a o 9-tej stanęliśmy w obozie, witani z niekłamaną radością przez naszych poczciwych ludzi, którzy słusznie przypuszczali, że nam się jakie nieszczęście, na polowaniu, zdarzyć musiało.

Ugasiwszy dokuczliwe pragnienie, z prawdziwą rozkoszą zasiedliśmy do obiadu. Apetyty mieliśmy wilcze, gdyż przez cały dzień zjedliśmy tylko po kawałku zimnego mięsiwa. Było też „oblewanie" zabitego słonia i opowiadanie bez końca wrażeń z dnia ubiegłego.

Gdy o godzinie 11-tej kładliśmy się spać, ludzie nasi z wielbłądem jeszcze nie przybyli. Nadciągnęli oni dopiero o 1-szej w nocy. Od godziny 7-mej wieczór aż do samego obozu, szedł za nimi lew, rycząc od czasu do czasu. Widocznie przytroczone do wielbłąda ariele budziły w nim taki apetyt. W każdym razie, sytuacya naszych ludzi była bardzo przykra, zważywszy, że żaden z nich nie miał broni palnej; a zresztą cóż byłaby warta i broń palna, gdy ich lew zapragnął atakować wśród ciemności nocnych.

To, pełne wrażeń polowanie na słonie, było kulminacyjnym punktem naszej krótkotrwałej wyprawy. Zbliżał się już marzec, więc należało myśleć o odwrocie, aby według pierwotnego planu, zdążyć na święta Wielkiej Nocy do Europy. Hrabia jednak nie chciał wracać, przebytą już przez nas drogą, to jest lewym brzegiem Nilu Niebieskiego, a ponieważ, jak to wiemy, projekt przerznięcia się do Nilu Białego należało zarzucić, więc pozostawała nam jeszcze droga na Dinder i Rahad — dwa dopływy Nilu Błękitnego. Według zdania krajowców można tam było spotkać bawoły, słonie, żyrafy i inną zwierzynę w wiekszej obfitości, aniżeli w okolicach Dissy; lecz natomiast brak drogi karawanowej wzdłuż Dinderu aż *vis-à-vis* Karkocz, czynił podobną wyprawę nader awanturniczą. Prowadzenie karawany z 24 wielbłądów przez dziką dżunglę mogło narazić nas ewentualnie na stratę kilku tygodni więcej. Aby jednak mieć pewniejsze dane co do tego kierunku, hrabia napisał list do mudira Roseires, Smyth-bey'a, prosząc go o radę w danym wypadku. W odpowiedzi p. gubernator przesłał hrabiemu dwa listy w odstępie 2 dni. W pierwszym z nich odradzał drogę z Dissy do Dinderu, aby, jak mówił, „nie krzyżować planów ks. Arenberga, który ten kierunek miał rzekomo wytknięty". W drugim zaś postawił zupełnie inne motywy. „Nie radzę Hrabiemu, pisał w swym liście, zapuszczać się na wschód od Dissy, gdyż miejsca te są uważane za rezerwy (miejsca ochronne)". A z tego wyprowadziliśmy sens moralny taki, że p. gubernator, jako zapalony myśliwy, niebardzo pragnął puszczać innych sportsmenów do owych „miejsc ochronnych", w których on sam polował. W każdym razie trzeba się było zgodzić z tą jego wolą, a wtedy pozostawała nam jedyna droga do powrotu, to jest lewy brzeg Nilu Niebieskiego, którędyśmy już przeszli.

(D. c. n.).

(*Łowiec polski, Sztolcman*).



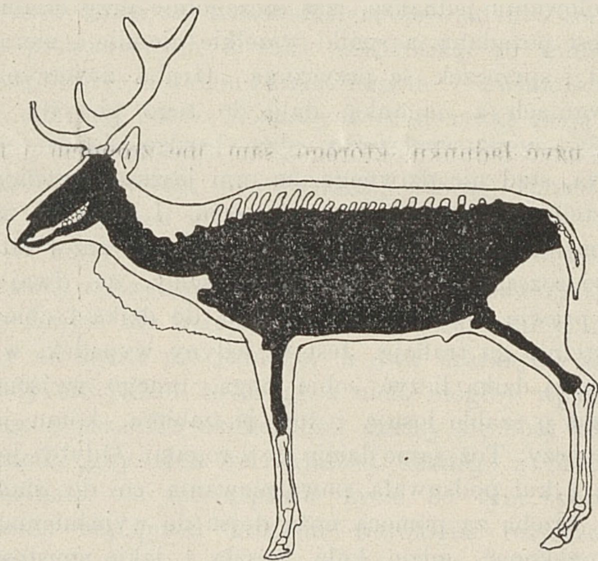
Pierwsza kula, ostatni śrót.

Znalazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,
Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył,
A potem dłoń podnosząc i kulę na dłoni,
„Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszej broni".

Tak ongi Gerwazy, rozciąwszy tasakiem łeb niedźwiedzia, dobył kuli i dowiódł, kto niedźwiedzia zabił, spór godząc dowodem. *Viribus unitis* powiada dewiza; na polowaniu jednakże, zaś szczególnie przy strzelaniu, nie jest pożądaną, a spółki wszelkie niemiłe, nieraz do kłótni i sprzeczek są przyczyną. Gruba zwierzyna na polowaniach z naganką, daje do tego powody, gdyż z kulą nieraz śmiertelną idzie bardzo daleko, jakby zdrowa, stąd nic dziwnego, że inni jeszcze strzelają, do śmiertelnie trafionego już zwierzęcia. I teraz to, zachodzą najróżniejsze wypadki raz trudne, to znów łatwiejsze do rozsądzenia. I tak przypuśćmy, że dwaj myśliwi prawie równocześnie strzelają do dzika i obie kule śmiertelnie go trafiają. Jest to jedyny wypadek, w którym obaj dzika liczyć sobie mogą, innego wyjścia nie ma, zaś o szable losują i ten je zabiera, komu je los przeznaczy. Toż samo dzieje się z rogami. Gdyby jednak jedna z kul podsuwała powątpiewania co do śmiertelności, trzeba za pomocą noża dojść do wyjaśnienia, aby się przekonać, gdzie kula weszła i jakie spustoszenia zrobiła. Tu przedewszystkiem wchodzą w rachubę kule gruchocące kości, a nawet i te są względnie śmiertelne. Kula gruchocze kość w badylu niżej kolana, zwierzę na trzech znika i często zupełnie się wyleczy, wegetując normalnie na trzech badylach i znowu na odwrót, jeżeli gangrena się w to wmiesza, ginie. A więc zupełnych pewników nie ma. Są jednak przypuszczenia oparte na doświadczeniu, które pozwalają ustanowić reguły dla uniknięcia nieporozumień i sporów, a także i niesprawiedliwości. Bo gdy pierwsza kula muśnie jelenia po grzbiecie, lub dzika po ogonie, śmieszne jest po prostu, aby taka kula decydowała. Gdy strzelono z jednej strony, decyduje również kula pierwsza, śmiertelna, którą wywnioskować można, już to po kalibrze, już to po znakach, jakie zwierzę robiło w chwili otrzymania kuli. Teraz przystąpmy do oznaczenia dokładnego, opartego na doświadczeniu, co znaczy kula śmiertelna decydująca, co kula nie decydująca, nic nieznacząca. Zwierzyna gruba śmiertelnie postrzelona, albo pada w ogniu, albo idzie,

tak długo, jak może i pada, albo też idzie niedaleko i kładzie się. Nie sztuka wtedy tropowcem ją przytrzymać. Pies przychodzi po farbie do postrzałka i naszczekuje, myśliwy zaś podchodzi na głos i czy kordelasem, czy też strzałem go dobija. Zwierzę lekko skaleczone przed psem ucieka i nie da się przytrzymać, uchodzi, a zwykle się wyleczy. Są to kule, trafiające nieśmiertelnie, a do tych liczą się następujące: kule trafiające w mięso n. p. w szynkę, nie gruchocące kości, nie naruszające organów szlachetnych. Wszystkie obcierki po skórze, dalej po rogach, uszach, ogonie i po badylach od kolana na dół. Wszystkie inne kule liczą się do śmiertelnie trafiających i decydujących, także i po badylach przednich, w kolana i od tegoż w górę, po tylnych od stawu skokowego w górę. Naturalnie, że nie obcierki ale takie, które gruchocą kości. Od tego bowiem zwierzę po części ginie, a w każdym razie ciężko i długo choruje. Z tego to powodu i taka kula jest decydująca. Kula zaś niedecydująca ustępuje nawet przed śrótem n. p. jeden z myśliwych trafia kulą dzika w ogon, albo koniec ucha. Dzik ucieka, wypadając na sąsiada, który ruluje go grubym śrótem. Dzik ten należy do niego. Gdyby strzał kulą był śmiertelny, to śrót naturalnie ustępuje przed kulą.

Całą tę sprawę tak można graficznie przedstawić. Kolor czarny przedstawia pole dla kul śmiertelnych.



Przy strzelaniu śrótem, rzecz ta znacznie łatwiej się przedstawia. Gdy dwaj myśliwi strzelają do jednej sztuki równocześnie, często nie wiedząc o tem, gdyż odgłos dwóch strzałów, w jeden huk się zlewa, jakby komendę, a strzały oba trafiają, najlepiej ciągnąć na supełki, a komu los zwierzę przeznaczy, do tego należy. Nie warto jest doprawdy sprzeczać się o zająca, lub nawet rogacza, śrótem strzelanego. Do zwierzyny postrzelonej uciekającej, decyduje strzał ostatni. Nie mam tu na myśli zwierzyny wlokącej się, do której również strzelam, raz przez ludzkość, a potem aby przysłużyć się sąsiadowi. Wtedy jednak nie strzelam, ale dobijam i przenigdy zwierzyny sobie nie liczę! Zając, lis, lub rogacz z odciętym skokiem, łapą lub badylem, liczy się temu, który go zabije.

Wiadomą jest rzeczą, że zwierzyna, ta nie tylko na trzech potrafi dobrze uciekać, ale zupełnie się wyleczy. A zatem do zwierzyny bez jednego skoka, lub zwierzyny trafionej, ale uciekającej, decyduje ostatni strzał śrótem.

Taka jest teorya. W praktyce zaś nieraz kula, tam uważana za śmiertelną, pokazuje się nieszkodliwą i odwrotnie. Z tego to powodu, we wszystkich sporach kulą czy śrótem, decyduje gospodarz, lub ten, kto polowanie prowadzi. Bo jeżeli poddajemy się pod komendę jego na polowaniu, z posłuszeństwem bezwzględnem — a gdy tak nie jest, grzeszymy przeciwko *savoir vivre* myśliwskiemu — to nie ma kwestyi, że zdanie jego, wypowiedziane w sprawach spornych musi nam wystarczać. Że gospodarz musi wydać sąd bezstronny, oparty na prawidłach myśliwskich, to się samo przez się rozumie. Gdy jednak gospodarz z jakichkolwiek względów nie chce sam decydować, składa się sąd honorowy z dwóch, co najmniej, wytrawnych myśliwych i to jest ostatnia instancya bez apelacyi.

Jako konkluzya tego wszystkiego: pierwsza kula śmiertelna decyduje do kogo zwierzyna należy, a strzał śrótem ostatni, jeżeli był potrzebny.

A. Sumiński.



Na dni niedalekie.

Wprawdzie należę do najmłodszych z czcicieli św. Huberta i jako taki, niewiele mam ponoś prawa do zabierania głosu w kwestyach formalnych, ale — obecnie składa się sąd wojenny na zające, lisy, kozły etc., a wiadomo, że do posiedzeń sądów wojennych powoływani bywają i prości, najmłodsi żołnierze. Jako więc taki, z najmłodszych szeregowców w armii wojującej z leśnym narodkiem, ośmielam się odezwać w kwestyi, dotychczas, jak mi się zdaje, jeżli nie całkiem, to przynajmniej nie bezpośrednio poruszanej.

Chciałbym mianowicie powiedzieć słów parę o ładunkach śrótowych, a właściwie o tem, żeśmy je powinni sami, własnoręcznie dla siebie przygotowywać. Zdaję sobie dokładnie sprawę z powyższego twierdzenia, ale i wiem też dobrze, że ono niejednego z szanownych czytelników zniechęci do dalszego czytania.

Dlatego zamiast na końcu, jak zwyczaj, przeprosić za znudzenie, a szanowną Redakcyę za zabieranie miejsca, naprzód proszę o chwilę cierpliwości, a za to postaram się sumiennie, punkt za punktem, a tych niewiele, usprawiedlić moje twierdzenie.

Znaną jest ogólnie rzeczą, że na całą ilość myśliwych, zaledwie może trochę więcej niż połowa zajmuje się sama sporządzaniem ładunków śrótowych. Druga zaś część, albo zaopatruje się, w gotowe w fabrykach, albo powierza tę czynność służbie.

Wiadomą jest również rzeczą, ile dobroć i skuteczność strzału zależy nie tylko od strzelca i broni, ale i od ładunku.

Wprawdzie niektórzy, a przedewszystkiem fabrykanci ładunków załatwiają tę kwestyę coś na sposób, że złej tanecznicy i fartuszek zawadzi, t. t. że kiepski strzelec na naboje winę składa, i bywa tak czasem, ale często i dobremu strzelcowi przyjdzie zły dzień, którego przyczynę znalazłoby się tylko w kiepskich ładunkach.

Ażeby ładunek był dobry, potrzeba nie najgorszej łuski, dobrych przybitek, co najważniejsze zachowania odpowiedniego stosunku prochu do śrótu, no i naturalnie musi być porządnie napełniony, zakręcony i onumerowany. To wszyscy wiemy, ale od tego zacząć musiałem. Pominę kwestyę łusek i przybitek, bo te i w fabrycznych nabojach są zwykle dobre, jak też i u tych myśliwych, którym służba je robi, więc zostaje mi tylko stosunek prochu do śrótu i wykończenie.

Stosunek ten jest rzeczą ogromnej wagi, stanowi on o ostrości i donioslości strzału, równem dzieleniu ziarn, a czasem i o całości strzelby i strzelającego. To ostatnie wprawdzie rzadko, no ale ostatecznie trafić się może, a do przyjemności nie należy. Przytem prawie każda strzelba, pomimo stałych norm wymaga innego ładunku, znam dużo szesnastek, które najlepszy strzał dają przy trzech gramach prochu.

Fabryki zwykle nacisk kładą na to, że przy większych partyach ładunków używają maszyn i przez to właśnie zachowują największą dokładność w napełnianiu. Bardzo pięknie, ale któż zaręczy, że dajmy na to, podczas roboty nie rozluźni się śrubka i maszyna wsypnie je o pół grama mniej lub więcej prochu, a robotnik może tego łatwo nie zauważyć, zwłaszcza, jeźli robota idzie na tysiące sztuk, co w fabrykach, podczas sezonu, jest na dziennym porządku. I można dostać parę setek dobrych, jak się żądało, a pareset całkiem nieodpowiednich. W domu znowu, gdy ładunki robi służba, rzadko się znajdzie służący, który, jeźliby zrozumiał nawet dokładnie, że co innego jest wsypać całą czy pół miarki prochu, to czy mu się zechce mierzyć każdy nabój dokładnie i strychować miarkę? Albo jeźli patron upadnie i śrótu się nadsypie trochę, z pewnością nie będzie go nowo napełniał, chyba gdyby wszystek śrót, albo prawie wszystek się wysypał. A przytem czasem trafi się i na umyślną złośliwość, słyszałem o wypadku, gdzie lokaj zamiast śrótu, ponasypywał wilgotnego piasku dla wagi, czy coś podobnego.

Jakie potem było strzelanie, łatwo sobie wyobrazić.

Śrót także powinien być dokładnie odważony i odmierzony, chociaż parę ziarnek przy drobniejszych numerach nie robi różnicy, ale co ważniejsze jest, oznaczenie numeru.

Przy patronach fabrycznych często zdarzają się omyłki. Widziałem ładunki od bardzo solidnej firmy, w których zamiast znaczonej czwórki, była szóstka i dziesiątka. A nieraz nawet i trudno robić z tego zarzut fabryce. Podczas najgorętszej roboty, wchodzi pan myśliwy i żąda, dajmy na to, tysiąc ładunków; z dwieście szósty numer, z pięćset 4-ty, reszta znowu inne, ale żeby były zaraz! albo jeszcze prędzej. Wszyscy zajęci, dostawca się kręci, poci, nareszcie, łapes chłopca z za comptoiru i rób. Cóż łatwiejszego, jak że się biedak pomylić może i choćby dziesiątkę naznaczy czwórką, lub t. p., a pan myśliwy może sobie potem pukać aż do skutku. Tak samo w domu, gdy służący robi, bardzo łatwa pomyłka w doborze i oznaczeniu śrótu, zwłaszcza jeźli robi naraz z kilku numerów.

Przytem najlepiej zna swoją broń sam właściciel, a często zachodzą rzeczy, których dobre lub złe skutki widzi się i czuje, a trudno wytłumaczyć o co chodzi, i czasem przy robieniu ładunków postępuje się prawie instyktownie a zwykle się zrobi dobrze — bo dla siebie. Jest to kwestya wykończenia ładunków, przybicia prochu, grubszej lub cienszej przybitki i zakręcenia, a co do tych rzeczy, to zdania są dosyć podzielone; wprawdzie n. p. nastał ogólny zwrot do lekkiego tylko przytykania prochu przybitką, ale dużo jest myśliwych, którzy tłuką w ładunek, jak w kowadło i twierdzą, że tylko tak dobrze bije; ale różne są strzelby — jedna jak to powiadają, lubi więcej prochu, inna mniej, do tej trzeba mocniej przybić, tam znowu nie, a tego i od fabryki wymagać trudno i służbie nie łatwo wytłomaczyć

Zauważyłem też, a może i który z łaskawych czytelników sobie coś podobnego przypomni, przy kupnych ładunkach i to, jak się otwierając je przekonałem, całkiem normalnych, u kilku strzelb trącanie. Strzelby te ani przedtem, ani potem, gdy ładunki sam robiłem, nie trącały. Rzecz to małej wagi i słuszną jest uwaga w „*Łowcu*“ Nr. 15, że kto nie znosi trącania, niech nie poluje. Co do mnie jednak, to wprawdzie nie płaczę gdy mnie strzelba trochę, a nawet mocno kopnie, ale w każdym razie wolę, żeby całkiem nie kopała i zdaje mi się, że moja racya lepsza.

I jeszcze jedno — rzecz więcej psychologicznej natury — nigdy nie byłem pewnym strzału, ile razy mi przyszło użyć ładunku, którego sam nie zrobiłem i na własne oczy nie widziałem, co w nim siedzi. Kwestya to może przyzwyczajenia, lub zbytniej drażliwości, ale zawsze mi bardzo nieskoro było zebrać się do strzału, a taka niepewność choćby nawet nieusprawiedliwiona, jest bardzo niemiłą, przypuszczam, że nie ja jeden tego doświadczałem.

Cóżby powiedzieć na zakończenie? Za mało mam doświadczenia, abym się odważył występować z mojemi przekonaniami i wyobrażeniami, w obec wszystkich czytelników „*Łowca*“, między którymi mamy niejedną i w szerszym świecie znaną powagę, co do tego, to mogę sobie sam odrazu powiedzieć, „Kuda Hryciu do patyny“. Przypuszczam jednak, że znajdzie się i dużo moich rówieśników, a może i młodszych, z którymi mógłbym się podzielić choć szczupłem doświadczeniem. Odezwałem się w tej sprawie, bo jej dotychczas nikt nie poruszył, a często mi była na myśli, polując zaś przez lat blisko dwanaście, nieraz już doznałem smutnego zawodu, tak z kupnymi, jak i z domowymi, cudzej roboty ładunkami, więc innych chciałbym od tego uchronić, którzy jeszcze nie próbowali.

T. Gordaszewski.



Przygoda podczas polowania na jelenie.

(Z angielskiego).

(Dokończenie).

W rzeczy samej jest grizzly, ze wszystkich amerykańskich zwierząt najgroźniejszym przeciwnikiem.

Uzbrojony, czy też nie człowiek nie da mu rady, a najodważniejszy myśliwy omija go i unika, gdyby żółtej febry.

Łatwo zrozumieć, dlaczego towarzysz mój odradzał mi strzału. Myślałem z początku, że go chybiłem, ale byłem w błędzie.

Kula dosięgła złośliwego zwierza, a rana wprawiła go w dziką wściekłość. Dał się słyszeć trzask łamanych krzaków, w nadbrzeżnych gąszczach, którędy przedzierało się ciężkie cielsko — dążąc ku wodzie.

Niedźwiedź walił wprost na nas!

„Boże dopomóż, on nas ściga!“ dał się słyszeć wykrzyk przerażonego Dicka, który zaczął rozpaczliwie wiosłować.

Święta prawda! Niedźwiedź ścigał nas a usiłowania jego były tak energiczne i skuteczne, że tuż, tuż, dosięgał naszego czółna. Dick, robiąc wiosłem z wytężeniem wszystkich sił, potrafił się odbić cokolwiek od ścigającego zwierza. Lekko pędziło nasze czółno, stale ścigane przez rozwścieklone zwierzę — wydające ustawicznie z gardzieli wściekłe ryki. Krytyczne położenie nasze pogorszała jeszcze i ta okoliczność, że nieprzyjaciel nie był dla nas widocznym, tudzież, że nawet w przybliżeniu nie można było osądzić, w jakiem oddaleniu znajdował się od czółna. Dopóki jeszcze światło znajdowało się na przodzie czółna, było jako tako; ściana z bukowej kory sprawiała, żeśmy byli w zupełnej ciemności; nie mogliśmy nic rozeznać; tylko ryki wydawane przez wroga kazały nam pamiętać, że drapieżnik następuje nam na pięty. Również wiedzieliśmy dobrze, że gdy położy łapę na brzegu czółna, przeważy je, skutkiem czego wpadniemy do wody.

Towarzysz mój pracował z rozpaczliwym wysiłkiem; ja dopomagałem mu, wiosłując kolbą strzelby, którą w pośród ciemności i wskutek przestrachu zapomniałem nabić.

Prąd odniósł nas o jakich sto kroków; myśleliśmy już, że unikniemy naszego wroga, gdy nowa, straszna przeszkoda stanęła w poprzek naszym zamiarom. Z dala huczał wodospad rzeki, która prądem swym przybliżała nas ku niemu coraz więcej.

Na oko, nie byliśmy już nawet odeń daleko. Okrzyk grozy — którym Indyanin objawił swój przestrach, pozostawił mi w duszy, dotąd niezatarte wrażenie. Obaj uczuliśmy rzeczywistą grozę i obaj bez słów postanowiliśmy zgodnie, że bądź co bądź, musimy zastanowić bieg łodzi, nim dosięgnie ziejącej przepaści. Wiosłowaliśmy ze wszystkich sił, zmierzając ku brzegowi; Dick wiosłem, ja kolbą strzelby. Usilną tą pracą dokazaliśmy tego, że czółno utrzymywało równowagę; myśleliśmy, że dobijemy brzegu, gdy nagle uczuliśmy silne wstrząśnienie. Ciężkie cielsko uderzyło o tył łodzi a równocześnie, wskutek uderzenia tego, wzniósł się po nad powierzchnię wody przód łodzi, tak, że kilka niewygasłych szczap spadło na dno. Przy świetle, którego nam użyczyły te szczapy, oczy nasze utkwiły w przedmiocie, który zmroził nam krew w żyłach.

Grizzly dopadł łodzi; nad wodą sterczał jego dziki, ohydny łeb, długie jego łapy sięgały po nad brzeg czółna, do wnętrza. Jakkolwiek łódź nasza trzymała się na wodzie, nie pewniej, od korkowej zatyczki i musiała się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, wywrócić lada chwila — nieobjawiała mimo to dzika bestya, najmniejszej chęci do wypuszczenia jej; przeciwnie przygotowywała się, by w pomyślnej chwili, wedrzeć się do wnętrza. Groziło nam największe niebezpieczeństwo; nietailiśmy go przed sobą, lecz to właśnie obezwładniało nas prawie.

Jednym skokiem byliśmy na przodzie czółna i przez kilka sekund siedzieliśmy bez ruchu, w pół skurczeni, nie wiedząc, co począć.

A jednak, musieliśmy się koniecznie na coś zdecydować. Zwróciłem się ku tyłowi czółna, a polecając memu towarzyszowi, by się starał dobić do brzegu, zmusiłem napastnika, aby puścił czółno i kilku porządnemi uderzeniami po paszczęce, wzbroniłem zwierzowi przystępu do łodzi. Dickowi poszczęściło się także, w tym stopniu, że prawie dobijaliśmy do brzegu, gdy nagle usłyszałem trzask, a równocześnie wykrzyk mego towarzysza, który przeniknął mię do głębi serca. Oglądnąłem się po za siebie, by zbadać, co się stało: w ręku Dicka ujrzałem krótki kawał drzewa, z czego poznałem, że złamało mu się wiosło.

Rękojeść prąd uniósł...

Wszystko stracone!

Nie mogąc kierować łodzią, dostaniemy się nieodwołalnie w ziejącą przepaść.

Już gotowaliśmy się, rzucić się do wody i dopłynąć brzegu, lecz na to było za późno; byliśmy już nad samym wodospadem, a wartki prąd, który ciągnął łódź ku spodowi, byłby i nas uniósł. Wiedząc, że znajdujemy się w położeniu bez wyjścia, nie wymieniliśmy ani słowa, lecz położywszy się na dnie łodzi, uchwyciliśmy się, ze wszech sił, oburącz, brzegów czółna. Wtem uczuliśmy, że zostaliśmy ciśnięci w głąb. Rzucone w głębinę — jak piórko — czółno, zatrzeszczało strasznie; zostaliśmy uderzeni o skałę. Bałwany spienionej wody przewaliły się przez nas, a w chwilę potem skonstatowaliśmy, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, a nie mniejszej uciesze, żeśmy nietylko pozostali przy życiu, lecz co więcej, że płyniemy dalej i to po spokojnej wodzie. Głęboka ciemność zalegała, gdyż ognisko wygasło doszczętnie. Mimo to, oczy nasze, przyzwyczaiwszy się cokolwiek do ciemności, rozeznały płynącego i operującego, niedaleko nas, niedźwiedzia. Na szczęście, zmierzał ku brzegowi, dobywając wszystkich sił, by zwiększyć oddalenie, między sobą a nami. Ten mimowolny, niespodziewany przypadek wywarł nań widocznie takie wrażenie, że ochłodła jego odwaga, wskutek czego, niechał nieprzyjacielskich kroków.

Wkrótce powiodło się nam przybić z czółnem, do połowy wodą napełnionem, do brzegu, a wylądowaliśmy w ten sposób, że użyliśmy do pomocy rąk i kolby.

Czując grunt pod nogami, przywiązaliśmy łódź do drzewa i rozwiesiliśmy na gałęziach upolowaną zwierzynę. Po dobrze zasłużonym wypoczynku, rozpoczęliśmy długą a nużącą drogę.

Nazajutrz wysłaliśmy ludzi, by przynieśli zdobycz niemniej by dostawili czółno nad wodospad; wysłańcy ci atoli znaleźli czółno w tak rozpaczliwym stanie, że obawiając się, czy się w drodze nie rozpadnie, pozostawili je na miejscu. Tak więc — na dobitkę wszystkiego — musiałem jeszcze hojnie wynagrodzić starego Indyanina, za jego zużytą łódź.



TIRO!

Sześć dni polowania w Pieniakach, znowu złotemi głoskami zapisało się, w sercach naszych. Ale bo też to jest knieja niesłychanie sympatyczna i prześliczna. Knieja-prawdziwa, knieja podszyta, zręby gęste, linie szerokie i wygodne, różnorodność zwierzyny, a słomek*) bez końca. Do tego porządek wzorowy, naganka chodzi doskonale, wszystko jak w zegarku.

Rok zeszły należał do wyjątkowych pod względem arcymiłych tych gości, tak żeśmy z łatwością 120 powstrzymali w dalszej podróży. W tym roku mniej było słomek w ogóle, a mimo tego, jeżeliśmy do 100 niedociągnęli, to darujcie mili towarzysze, ale bijąc się w piersi, wołajmy: *nostra culpa*. Jednym świerki przeszkadzały, drudzy krzywo nastawiali, innym wiatr śróty zdmuchiwał a byli i tacy, którzy narzekali, że niegodziwe długodzioby za szybko latają, słowem, nie każdy ładunek zabijał, co znów nawiasem mówiąc, nie tak wielkie nieszczęście, boć by ród słomek wyginął z kretesem, że się tak wyrażę! Mimo tych nieszczęść, mieliśmy dwa dni z rzędu po 18 na rozkładzie. Jednego wieczora, po ostatnim miocie, stanęliśmy na ciągu. Wnet tu „tiro" i tam „tiro" się rozlega i czternaście strzałów, jak rakiety przeszywało powietrze, budząc swym hukiem drzemiący już las. Dziki były, lecz wychodziły na tych, którzy z dziesiątką słomek oczekiwali, omijając bacznie posiadaczy trzylufek — dlatego to ich na rozkładzie nie było. Do zajęcy strzelało się, tylko tu i owdzie, oczekując przeważnie słomek i grubszej zwierzyny. Między rogaczami znajdował się jeden z prześlicznymi parostkami. Wyjątkowo grube, szerokie na końcach, a przytem i długie, słowem prawdziwy kapitalny szóstak. Myśliwemu, który go zabił, szczęścia życzono przed miotem, ot co znaczą przesądy! Dwa dni mieliśmy straszną wichurę i to nietylko dokuczało dotkliwie, ale co gorsza, nie przyczyniało się do powiększenia rozkładu, jak się łatwo domyślić. Ogólny rezultat tak się przedstawia: 84 słomek, 25 lisów, 14 rogaczy i 87 zajęcy.

To było, a co mogło być, o tem zapomnij przezacna muzo moja i milcz! *Sumiński.*

*) Na wyraźne życzenie Autora, zachowujemy tę pisownię.



Korespondencye.

Kuty, 16. października 1901.

Dnia 21 października zrobiłem dubletę do kuropatw. U jednej z nich, tegorocznej, spostrzegłem nienormalny dzióbek, o wiele cieńszy od zwykłego, długi na 3 cm. i spiralnie w górę zakręcony. Pomimo tej nienor-



malności tak ważnego przy odżywianiu się organu, kuropatwa ta była bardzo dobrze odżywioną i pomimo ścisłego badania nie spostrzegłem, żeby była przedtem zbarczona.

August Gorecki.

Z polowań na rykowisku.

Rykowiska wypadły tego roku doskonale, pomimo, że jelenie ryczały słabo, skutek co do ilości przeszedł, jak nam donoszą prawie wszędzie oczekiwania.

Prym trzyma oczywiście perehińsko — jasieńsko — suchodolski rewir, należący do hr. Andrzeja Potockiego. Polowania trwały tam od d. 19 września do 5 października z przerwami — polowano razem dni dwanaście. W polowaniu wzięło udział siedmiu myśliwych, a mianowicie obok gospodarza, który jednak po trzech dniach polowania zmuszony był odjechać, brali udział w tych godach myśliwskich hr. T. Zamoyski, hr. Ksawery Branicki, hr. Skrzyński, hr. Z. Tarnowski i ks. K. Lubomirski. Ubito 54 jelenie i jednego niedźwiedzia, który nawinął się pod lufę jednemu ze szczęśliwych myśliwych, gdy podchodził do ryczącego jelenia.

Z polowań w Tartarowie, w Rafajłowej i w Mizuniu nie mamy jeszcze relacyi — za to doszła nas wieść, że członkowie naszego Towarzystwa p. E. O., p. A. F. i hr. H. St. mieli również niezwykłe szczęście na tegorocznem rykowisku. Mianowicie zabili oni po cztery jelenie każdy, pierwszy w Wygodzie zrobił *coup double*, drugi w Weltlinie zabił czterema strzałami cztery lenie, trzeci również szczęśliwie tę samą ilość jeleni.

Grojec, 27. października 1901.

Jakkolwiek ciepła, słoneczna i sucha tegoroczna wiosna, a szczególniej piękne miesiące lęgu, a następnie ciepłe i suche lato, bez burz, gradów i ulew nadzwyczajnie sprzyjały rozmnożeniu się i wylęgowi naszej zwierzyny, budząc w sercu myśliwego nadzieję ładnych polowań, to jednak nadzieje te tylko wyjątkowo, w rzadkich wypadkach się ziściły. I tak, zajęcy, mimo silnej obsady w roku przeszłym pozostawionej, spotyka się bardzo mało, a i to w największej części z późnych.

miotów letnich, wielkości małego królika, widocznie epidemia, skutek dwóch mokrych lat poprzednich, nie wygasła jeszcze w zajęczym rodzie.

Kuropatwy, które bardzo dobrze przezimowały i których pary bardzo liczne na wiosnę się spotykało, także nie zupełnie ziściły pokładane w nich nadzieje, stada bowiem, jakkolwiek bardzo wczesne, bardzo nieliczne, przeciętnie złożone z 10 do 12-stu głów, nadto mnóstwo par jałowych i nadliczbowych kogutów, a te ostatnie zbiły się w sierpniu w stadka, po kilka do kilkunastu sztuk. Głównem więc zadaniem myśliwego było wybić tych ostrożnych sybarytów, jako też i pary jałowe, do rozpłodu widocznie już za stare, zadanie tem trudniejsze w obec ostrożności nie wytrzymywania na odległość strzału, które jednak wytrwałość myśliwca pomyślnie rozwiązać zdołała. Ogółem padło u mnie 178 kuropatw, cyfra, w porównaniu do lat poprzednich, na oko, dla rozpłodu mniej korzystnych, za mała, tem więcej, że rezultat tegoroczny w innych, mniej żyznych i mniej szanowanych rewirach, był znacznie lepszy. I tak, polowałem 13 września w małym 300 morgowym, rewirze dzierżawnym miasta Oświęcima i mimo niekorzystnych warunków, bo drobnych łanów włościańskich, ciągłego niepokojenia zwierzyny przez ludność w polu pracującą, a nadto słotnego dnia, zabiliśmy w trzy strzelby, w 5-ciu godzinach, z dwoma wyżłami 60 kuropatw, 8 derkaczy, 3 przepiórki. Z końcem zaś września, u brata mego, w powiecie chrzanowskim, mimo spóźnionej pory, mimo, że gleba mniej urodzajna, mniej dostarcza pożywienia, że rewir dopiero od niedawna w rękach obecnego właściciela, a poprzednicy nie myśliwi, wcale o zwierzyny niedbali, w dwie strzelby w 6-ciu godzinach 38 kuropatw, 3 cietrzewie, 4 derkacze, 5 kszyków.

Rezultaty, jak na tamtejsze stosunki, spóźnioną porę, lotność kuropatw, polowanie bez żadnych przygotowań i zachodów, jak pogonki, wysłuchiwania stad, straży etc. wcale dobre, tem więcej, gdy się zważy, że w obec masy ludzi pracujących w polu, strzał bardzo utrudniony, a tem samem i nie każdy trafny.

Bażanty również nie zupełnie dopisały, bo stada niepełne po 6 do 10 sztuk, przeważają koguty, co na przyszłość bardzo niekorzystne, a nadto wiele stad spóźnionych, obecnie jeszcze nie wyrosłych.

Lepiej dopisały w tym roku kaczki, jakkolwiek przelotów, tej okrasy wodnego polowania, w tym roku mimo pięknych parnych wieczorów, wczesnego zbioru zbóż, obszernych ścierni owsianych, wcale nie było, co tam więcej zadziwia, że starych kaczek i podlotów na stawach było dużo i sam przeszło 350 kaczek, w tym sezonie zastrzeliłem.

Z ptactwa wodnego, niebywała ilość czapli siwych, we wrześniu stada po 40—50 sztuk, trzebiły nasz drogi narybek i mimo licznych strzałów i trupów, dopiero z początkiem października nas opuściły. Kszyków, szczególniej we wrześniu, na wcześniej opuszczonych stawach bardzo dużo, lecz mimo ciepłych parnych dni nie bardzo dotrzymywały.

Stan sarn, mimo bardzo małych i nielicznych parcelek leśnych, przeważnie młodników, zadawalający, a rezultatem mych łowów na podchodnego, 5 silnych czteroletnich i starszych rogaczy, z których jeden miał oryginalne niezwykłe parostki, jak świadczy nieudolny



pobieżny szkic 1/5 naturalnej wielkości, który załączam.

W końcu, niech mi będzie wolno, podzielić się z szanownymi czytelnikami krótkim szkicem pomyślnych, improwizowanych łowów u brata mego, w powiecie limanowskim. W obec licznych skarg, miejscowych górali na szkody polne, wyrządzane im przez dziki, korzystając wraz z porucznikiem S. (znakomitym myśliwym i strzelcem) z krótkiego u brata mego pobytu, wyszliśmy pod jego kierownictwem, 5-ciu chłopcami pogonki wczesnym rankiem, do pobliskiego lasu, gęstego 20-letniego, szpilkowego młodnika. Brat obstawił nas górą a w omówionym czasie, nieliczna pogonka z dołu ruszyła, idąc cicho, bez niepotrzebnego hałasu. Miot pierwszy był bez rezultatu, bo do dwóch, wyszłych na stanowisko rogaczy, nie strzelaliśmy, nie chcąc niepokoić na pewno oczekiwanych dzików. W miocie drugim, wypada na brata mego, stojącego na lewem skrzydle z głębokiego, gęstego jaru, ogromna maciora, strzela ją na sztych na 40 kroków ze swego wypróbowanego drillinga kaliber 9 m/m ekspress, a trafiwszy po pod same prawe oko, kładzie jak szaraka na miejscu. Kula przeszła ją wzdłuż na wylot. Strzałem tym spłoszone, idące z tyłu wraz z drugą maciorą, warchlaki (7 sztuk) zbaczają na prawo, i wypadają w całym pędzie, na wąską, leśną drożynę, między stanowiskiem porucznika S., a mojem. Ten strzela z ekspresa 11·6 m/m do idącej na czele maciory i trafia w komorę, lecz strzał trochę spóźniony, bo dany w skoku, meta 80 kroków, maciora znaczy, lecz idzie i w odległości 100 kroków w miocie następnym, znaleziono ją nieżywą. Kula przeszła na wylot. Spłoszone warchlaki sadzą, jak sarny przez wąską drogę, jeden z nich pada od mej kuli (drilling, ekspress 11·2 m/m) z przestrzelonym krzyżem, dobijam go kordelasem. Obawiając się, że dziki, pod wpływem tak strasznej rzezi, nie zatrzymają się tak prędko, opuszczamy na razie mioty następne, a obstawiamy, jak najprędzej miot najwyższy, graniczny, w którym kierunku dziki poszły. Przypuszczenie nie zawiodło, bo istotnie wyszły między brata, a porucznika S., z których pierwszy warchlaka, a drugi trzecią ogromną maciorę, celnymi strzałami na komorę, na miejscu trupem kładą, reszta dzików znika w sąsiednim obcym rewirze. Wiedząc obecnie, że dziki już wyszły, bierzemy poprzednio opuszczone, dwa mioty, w których porucznik S. strzela bardzo ładnego kozła, z nienormalnymi ładnymi parostkami, na mnie wychodzi tęga lisiura i z dymem pada.

Tak więc wynik tych kilkogodzinnych, prześlicznych łowów, trzy ogromne po przeszło 130 kg. ważące maciory, 2 warchlaki, 1 rogacz, 1 lis, rezultat jak na porę — połowa września, 3 strzelby, 5-ciu pogonki, trudny, górzysty teren, z bardzo gęstą podszywką i stromymi stokami, wcale zadawalający.

J. Chwalibóg.

Jeszcze słów kilka w kwestyi bocianiej.

W jednym z ostatnich numerów „Kurjera Warszawskiego“, wyczytałem odezwę „Warsz. Tow. Opieki

na zwierzętami“, w której, to ostatnie, powołując się na pewien paragraf prawa (?!) i czyniąc gwoli tradycyi ludu, każe bociana brać w opiekę, a za zabicie tegoż karać winnych grzywnami!! Cóż to ma znaczyć? Jakże możem wypowiadać bocianom zagładę, jeśli władza nie tylko nie zachowuje się neutralnie w tym względzie, lecz wprost prawo karze za zabicie tego szkodnika! Jakaż to dziwna nieoględność i opieszałość naszego „Tow. Rac. Pol.“, które działa po omacku — tak poomacku, boć chyba wiedząc, iż prawo (!) zabrania zabicia bociana — nie wypowiadałoby mu tak otwartej wojny i nie usposabiałoby wszystkich myśliwych tak wojowniczo przeciw tym „kochanym wojtusiom“! — wszystko to bowiem zakrawa w takim razie na „porywanie się z motyką na słońce“. Nieoględni są zaś bardzo panowie Członkowie nasi, skoro mając poparcie Władzy, (gdyż założycielem „Warsz. Tow. Rac. Myśl.“, jak Wielki książę Włodzimierz Aleksandrowicz) nie wystarali się dotąd po 29-letniej działalności o zmianę tego nieuzasadnionego paragrafu prawa. (?) Dawniej, gdy warunki bytu społecznego i ekonomicznego, oraz przemysłu naszego kraju, stały o wiele lepiej, niżli dziś, o racyonalny rozwój zwierzyny nikt się tak dalece troszczyć nie potrzebował; lecz dziś jest inaczej, przekonaliśmy się, iż zwierzyna użytkowa racyonalnie hodowana jest poważnem źródłem dochodu krajowego, usilnie więc starać powinniśmy się, aby wszelkie czynniki, wpływające na jej rozwój ujemnie co prędzej usuwać. A i warunki, w jakich zwierzyna dawniej żyła a dziś, zmieniły się nie do poznania — niezmierzone okiem lasy i knieje — te dzikiego zwierza ostoje — stopniały pod siekierami i ku radości żydków kochanych i usłużnych niemiaszków; teraz więc, na każdym kroku piętrzą się ogromne trudności dla chcących zwierzynę użytkową racyonalnie hodować i rozmnażać, a tu na przeszkodzie, staje jeszcze w roli intruza i niewiniątka, tradycyjny „bocian“ i nb. poparcie... ustawy naszej!!! Dalej więc, panowie członkowie, wziąć się żywo do dzieła! 1) Wystosować podanie do władzy z prośbą: 2) zmianę tego arcy-mądrego paragrafu prawa; 3) przedstawić bociana we właściwem świetle; 4) udowodnić, że nietylko żaby, węże i żmije jada, ale stokroć częściej zające, kuropatwy, przepiórki i ich jaja, jednem słowem, naprawić złe, póki czas! Może więc po pewnym czasie otrzymamy zmianę korzystną tego paragrafu prawa, który chyba jest unikatem w zbiorze praw wszystkich, europejskich państw.

Myśliwy z Królestwa Polskiego.

R u d k i, w listopadzie 1901.

Dnia 9 b. m. odbyło się w Hoszanach u pp. Stefanów Janków polowanie, na którem w 12 strzelb ubito 2 rogacze, 15 zajęcy, 12 lisów. Zwierzyny sporo, zwłaszcza lisów. Na rozkładzie znalazłoby się, z pewnością jeszcze więcej, ale na przeszkodzie stała fatalna aura, gdyż od rana padał deszcz ze śniegiem i zimno było przenikliwe, co dało się myśliwym bardzo we znaki.

J. J.

Lista strzelonej zwierzyny, na polowaniach głównych w bażantarniach i na polach Ordynacyi Łańcuckiej.

Dzień 1901	powietrze	od godziny do godziny	liczba strzelców	Rewir	rogacze	zające	bażanty	kuropat.	słonki	różne	Razem
					Sztuki						
21/X	deszcz	popołud. 2 do 4	8	Strażów . . .	1	96	645	12	—	—	754
22/X	pogoda	rano 10 do 12	8	Korczak . . .	—	11	916	—	—	1	1453
22/X	pogoda	popołud. 2 do 4	8	Lubartów . . .	—	11	506	6	1	1	
23/X	pogoda	popołud. $1\frac{1}{2}$ do 3	8	Betulin	—	6	663	—	—	—	812
23/X	pogoda	popołud. $3\frac{1}{4}$ do 4	8	Palikówka . . .	—	28	115	—	—	—	
				Razem	1	152	2845	18	1	2	3019

Wł. Lewicki,
łowczy.

Batiatycze, 8 października 1901.

Świętego Dmytra — pierwszy śnieg, nadzieja powówki, śmierć lisiurom — nawet z mojej szesnastki, co długię lata poczciwie strzelała a dziś, na starość, gwałtem p. Tabaczkowski kaliber jej powiększył.

Lecz śnieg zginął jak senne marzenie, wicher z deszczem siecze o szyby — smutki wracają — i rozmyślania. Smutkami tymi dzielę się z tymi, co mają sąsiadów, w których lasach poluje, kto chce. Wicher napędza zwierzynę rankami lub nocą, z cudzego lasu — a wracającą strzela się, jak swoją. Ot, właśnie w miesiącu padło 11-cie kóz. a p. sędzia w Mostach — błogosławił od wszystkich dyabłów takiego delegata, co mu dał 8-miu winowajców, no i całą falangę świadków.

Brudny zaś żydek z Dolnicza, co to niby — spotkał się z dogorywającą kozą na drodze — poszedł z nią solidarnie — choć trefna, na kuracyę do kozy, ale w Mostach.

Dużoby dało się pisać o różnych sztuczkach złodziejskich, jakie się tu praktykują, n. p. taka wioska, jak Herawiec, to każdy ma broń, a w graniczących lasach Dolnicza, Dzibółek, zwierzyna chroniona i strzelana tylko na dużych polowaniach, ginie z ręki złodziejów leśnych — za nadto ufając ludziom.

Prawie w każdej korespondencyi poruszam sprawę żandarmeryi — i więzy — jakimi ta jest skrępowaną w myśl ustaw, jeżeli chce, *vorschriftsmässig* zrobić porządek z pierwszym lepszym złodziejem.

Stan zwierzyny byłby zadawalający, zajączki pokazują się dość gęsto po polach, słonki dopisały jak nigdy, kuropatw dużo i w dużych stadach, które przy obsianych oziminach podejść nieco trudno — bo zmykają na piechoty, spostrzegłszy myśliwego — co niewiniątko udaje.

Sarny — ustawicznie płoszone, nie trzymają się miejsc. Cietrzewi dużo, lecz dziś bardzo ostrożne. Dziki, jako przechodnia zwierzyna, wtaczają się nocami, robiąc szkody a nawet wieści mnie dochodzą o gniazdowych wilkach w Pełkińcu, ale to już sąsiad p. Lewandowski sprawdzi i ukarze złodziei.

Ogromne obszary lasów, duża ilość zrębów i łąk porośniętych łozami, ulubione lęgowiska sarn — złożyłyby się w powiecie żółkiewskim, prawie w każdej miejscowości, na eldorado dla myśliwych — wszak to dawny teren myśliwstwa królów: Kazimierza — Sobieskich i królewskich gości — polowano na łosie. Obecnie jeszcze rogi w jarach się znajdują a dziś — i dziś byłoby niezgorzej, gdyby — ale o tem, gdyby jeszcze więcej pisać, serce boli — może kiedyś będzie lepiej.

Tymczasem — je jak buwało.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Sokołów, 31. października 1901.

Ażeby się przekonać, czy jeszcze są słonki — zapolowaliśmy wczoraj, w pięć strzelb, w podniosłym lesie dębowym i ruszyliśmy 12 słonek, z tego ubili 8. Oprócz tego ubito dwa rogacze, kunę, bardzo ładny egzemplarz samca, lisa, cietrzewia, trzy bażanty i trzy zające — razem sztuk 19 na 51 strzałów. Jeden rogacz ósmak z bardzo ładnymi rogami. Ciekawym był stosunek strzałów do ubitej zwierzyny — bo kiedy do bażantów strzelano źle — gdyż na 24 strzałów padły tylko trzy bażanty — to znów stosunek do innej zwierzyny, był niezwykle dobrym, gdyż biorąc na uwagę, że strzelano przeważnie do słonek i cietrzewi — na 16 sztuk ubitej zwierzyny wypada 27 strzałów, czyli przeciętnie po półtora prawie tylko strzału na jedną sztukę ubitą.

W tym roku ubito dotąd w Sokołowie: 7 rogaczy, 4 lisy, 1 kunę, 2 cietrzewie, 23 bażantów, 42 słonek, 14 kuropatw, 33 zajęcy, 15 przepiórek, 20 kszyków, 8 chruścieli, 21 kaczek, 1 jączyka, 1 paszkota, 2 sowy, służba zaś leśna ubiła, lub złapała na łapki — szkodników 137, między tem 47 jastrzębi i 17 bocianów.

Stanisław Matkowski.

Nuszcze, w listopadzie 1901.

Dnia 26 października b. r. odbyło się polowanie u WP. Wierzchlejskiego, w Pleśnianach-Urlowie, w małych lasach podolskich, obejmujących 200 morgów. Padł 1 rogacz, 3 lisy, 11 zajęcy. Byłoby więcej, gdyby niektórzy myśliwi trochę lepiej mierzyli i gdyby z sąsiednich wsi psy wszystkiego po polach nie wyjadały, jak cały rok Boży. Może samo polowanie nie zasługiwałoby na szersze opisanie, gdyby się nie zdarzyły ciekawe epizody. I tak, w jednym miocie łapią chłopcy postrzelonego zająca z wielką uciechą, niosą go na linię strzelców (szeroka łąka), a jeden z chłopaków, dla pewności rznie głową zająca o ziemię i w mniemaniu, że już zając nie żyje, rzuca go na łąkę. W tej chwili zając się zrywa i w nogi. Jeden z p. myśliwych daje za nim dwa strzały i tyle go widziano. Jeszcze przed rozpoczęciem polowania, mówi do mnie stary gajowy: oho! wże naszoho rohacza, z tymy wełykimy rohamy nema, wże ho z pewnostiu uziaw p. Ł..... na zasidci. Naturalnie, że posłałem p. Ł..... do wszystkich d...... Ale o dziwo! w ostatnim miocie wali mój rogacz na prawą flankę. Tam stojący p. myśliwi, jeden z jednej, a drugi aż z dwóch lufek razem za nim palą, rogacz nie czekając, by się psucie prochu powtórzyło, skoczył w gąszcz, aż się zakurzyło i przepadł. Jeden z panów, bardzo dobry myśliwy, który się ze swego stanowiska przypatrywał świetnej kanonadzie i rogaczowi, twierdził, że był to bardzo duży rogacz, ze ślicznymi, dużymi parostkami, ale uciec mu się udało, choć dwóch do niego strzelało.

A. Korpak.
kierujący polowaniem leśnik.

Zimnowoda — Warzyce.

Uporawszy się z robotami około roli, trzeba i „*Łowcowi*“ zdać sprawę z gospodarki na niwie św. Huberta.

Co prawda, nie wiele potrzeba słów i cyfr, aby tego dzieła dokonać, albowiem sprawozdanie to, ograniczam jedynie do gospodarki na moim terenie myśliwskim w Zimnowodzie i Warzycach, wynoszącym wraz z lasem około 2000 morgów.

Przedewszystkiem konstatuję z przyjemnością, że z roku na rok, stan zwierzyny stale się podnosi. Podnoszę dalej z naciskiem, że nie dzieje się to żadnym cudem, lecz po prostu racyonalną gospodarką, jak: gorli-

wem tępieniem wszelkiego szkodnika i drapieżnika, opieką w czasie lęgu, racyonalnego, w razie potrzeby żywienia, wreszcie niodstrzeliwania po nad miarę.

Postępując w ten sposób, dochowałem się obecnie, na moim, dawniej zupełnie pustym terenie myśliwskim około 200 sztuk kuropatw i dość sporo zajęcy w polach. Nie w tym stopniu poprawia się moja knieja. Niestety, próżny trud i daremna praca tam, gdzie bodaj tylko jedna strona lasu graniczy rowem z knieją sąsiada, któremu obcym jest kult św. Huberta! Taki rów graniczny, a w nim wiecznie dymiąca rusznica — to grób sarn i zajęcy, to rozpacz.

Lisy wytępiłem do tego stopnia, że chyba tylko dla ochrony tego rodu, parka dla nowej — w przyszłości — arki Noego pozostała.

Dzik gniazdowy w mej kniei rzadki; natomiast wiele dzików przechodnich. Zapolować na nie z rezultatem niepodobna, bo nigdy nie oblegają, lecz narobiwszy zawsze dużo szkody w lesie i w polach — uchodzą świtem, bezkarnie.

Słonka należy tu do rzadkości.

Ptactwa błotnego i wodnego bardzo mało, bo nie ma tu łąk błotnych.

Przepiórek z każdym rokiem mniej.

W końcu senzacyjna wiadomość.

Otóż, nie wiadomo skąd i jaką gnane koniecznością, przyleciały w tym roku na moje pola 2 bażanty; a trzeba wiedzieć, że do najbliższej stąd bażantarni, jest co najmniej 5 mil.

W nadziei, że obszerniejszych relacyi o stosunkach myśliwskich naszego powiatu dostarczą Szanowni koledzy delegaci — kończę moją notatkę.

Władyłsaw Rieger.



Kronika.

„Lovecká Besidka" wychodzi z końcem każdego miesiąca, o 24 stronicach, formatu 4⁰. Czasopismo to odnacza się swem okazałem wyposażeniem i jest wszędzie mile widzianem. Zawiera bogaty wybór artykułów fachowych, licznie i okazale ilustrowanych; znajdujemy w niem wielką ilość udatnych i wesołych zdarzeń tak w prozie, jakoteż we wierszach. Polecamy czytelnikom, jak najgorecej czasopismo to, które powinno się znajdować w każdej bibliotece. Wszystkim abonentom nastręcza się sposobność do *bezpłatnego* inserowania we „Vseobecném oznamovateli".

Całoroczna przedpłata wynosi tylko 4 korony. Można żądać pierwszego zeszytu VIII. rocznika, na okaz.

O pękaniu strzelb. Znany francuski fabrykant broni M. Jeandet z Lyonu przytacza trzy przykłady takiej eksplozyi z upłynionego roku. Eksplozyi tych nie można było żadną miarą kłaść na karb wadliwej broni, w każdym bowiem z tych wypadków była ona pierwszej jakości. Raczej należy zdarzenia te przypisać szczególnym okolicznościom w dwóch wypadkach, zaś przedewszystkiem niedbałości strzelającego. Pierwszy wypadek był następujący. Myśliwy wystrzelił z prawej lufy. Nabój przez nieoględność nie był napełniony prochem, lecz kapsla miała dość siły, aby ładunek wepchnąć do środka lufy, gdzie ołów utknął, tworząc niejako zatyczkę. Gdy strzelający — nie zauważywszy tego — wystrzelił powtórnie z tej samej lufy, lufa pękła, co zresztą łatwo pojąć. W drugim wypadku spowodowało rozstrzaskanie lufy — zapchanie się jej tłustą ziemią. Myśliwy upadł, przyczem ziemia wcisnęła się do wylotu lufy. Nie badając broni — po podniesieniu się z ziemi, wystrzelił, to też lufa uległa strzaskaniu. Również i trzecią eksplozyę spowodowało zatkanie lufy, lecz wśród szczególnych okoliczności, które strzelającego bynajmniej, nie przedstawiają w korzystnem świetle. Myśliwy ten posługiwał się dwoma kalibrami, mianowicie 12 i 20. Gdy wystrzelił z dwunastki, nabił dwudziestką tę samą lufę. Pociągnął cyngla, lecz wystrzał nie nastąpił, komorka była próżna — więc nabił na nowo dwunastkę. Po wystrzale nastąpiła straszna eksplozya, a na lufie powstała ogromna rysa. Zaszło co następuje: Nabój 20 milimetrowy posunął się w komórce cokolwiek dalej i utknął tak, że go nie można było spostrzedz. Przy wystrzale z następnego naboju został poprzedni, za szeroki ładunek wciśnięty w lufę, lecz dotarłszy do jej środka i nastręczył taki opór, że lufa się strzaskała, mimo, że była bardzo silnej konstrukcyi. Przytoczone przykłady powinny tylko napominać do przezorności, wszędzie potrzebnej, a w łowiectwie wszczególności wskazanej.

Trzylufki. Skombinowanie luf śrótowych i kulowych, zastosowane pzzy trzylufkach, jest powodem pewnych niedogodności tej broni; lufy śrótowe zostały z konieczności skrócone, lufa kulowa natomiast przedłużoną, skutkiem czego jednak wcale nie wzmogło się jej działanie. Najnowszem ulepszeniem zastosowanem przy trzylufkach, jest skrócenie lufy kulowej, przy równoczesnem obniżeniu położenia szyny lufowej, w pewnym punkcie, w tym celu, by uniknąć zbyt częstego „górowania". Uleps eniem tem, jeżeli nie zapobieżono górowaniu w zupełności — to sprowadzono je w każdym razie do możliwego minimum. Myśliwi, którzy przedsięwzięli próbne strzelanie z tych trzylufek najnowszej konstrukcyi, nie mogą się dość nachwalić tej ulepszonej, w usługach dla łowiectwa tak praktycznej, broni palnej, jaką w ogóle trzylufki przedstawiają. Pochwały te odnoszą się zarówno do pewności strzałów kulowych, jak niemniej, do równoczesnej precyzyi strzałów śrótowych.



Uprasza się wszystkich P. T. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładki za rok 1901 i poprzednie lata, by raczyli zaległości jak najrychlej nadesłać, gdyż w przeciwnym razie może z braku funduszów nastąpić zwłoka w wydawnictwie naszego pisma.

Administracya Łowca.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).

DO SPRZEDANIA

Poszukujemy tropowca na dziki bardzo pewnego, nie goniącego nic prócz dzika. Oferty należy wnosić pod adresem: „Zarząd dóbr Żurawno“. Psa zapłaci się po dokładnem wypróbowaniu.

Dziczyznę, ptactwa, drób kupuje każdą ilość. Jan Borys Przemyśl.

Kupię ładną suczkę „Seterkę“ czarną z białem, półroczną z bardzo dobrej rasy. Major Komornicki, Kamionka Strumiłowa.

Leśnik kawaler lat 22 obeznany z wszelką gałęzią leśnictwa, oraz i z tartakiem. poszukuje posady od 1 grudnia r. b. albo od 1 Stycznia 1902, najchętniej do nadleśnictwa za pomocnika.

Łaskawe oferty nadsyłać Fr. Mozolewski, Balwendorf poczta Briessen.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**